

28 w 2018 (28)

Wizytacja pewnego obozu

Data publikacji: 14.06.2018 / Autor: Tomasz Maracewicz

Z racji zbliżających się obozów, planujemy cykl nieco swobodniejszy rozważań o obozowaniu, wędrowaniu i... kolonizowaniu (nadal lepiej niż „kolonizowaniu”), także wśród przedruków szukamy zatem artykułów obozowych. Dziś przypominamy felieton hm. Tomasza Maracewicza, opublikowany w „[Pobudce](#)” - nr 15 ze [stycznia 2008 roku](#) - zwróćcie uwagę na doskonałe sformułowanie: „wszechobecny dyktat programu”. Czy dziesięć lat po publikacji jest wciąż aktualny, czy może głos Marabuta zmienił nasze obozy?

Miałem przyjemność minionego lata wizytować pewien obóz. Uwagi po jego wizytacji spisałem w specjalnym raporcie, ale ponieważ są one znamienne, uznałem za właściwe podzielić się nimi z Czytelnikami. Szczególnie, że liczne wątpliwości, które omawiałem z komendą, wynikają z głębszych zjawisk, obserwowanych przeze mnie w ZHR-rze, a których źródło upatruję w niedostatecznym sposobie kształcenia umiejętności instruktorskich (nie wiedzy, a umiejętności) oraz błędach popełnianych przez nas, harcmistrzów - w sposobie realizowania opieki instruktorskiej oraz wspierania doskonalenia warsztatu u młodych instruktorów.

Dodam, że wizytowany przeze mnie obóz był obozem dobrym, nie działo się na nim nic niepokojącego jeśli idzie o bezpieczeństwo fizyczne, zdrowotne i wychowawcze uczestniczących w nim harcerzy. Był obozem ciekawym, bardzo pozytywnie przeżywanym przez uczestników. I jestem przekonany, iż wiąże się on głównie z dobrymi wspomnieniami uczestników i dobrym doświadczeniem dla jego kadry.

To co rzucało się w oczy przede wszystkim to dobra atmosfera, brak przemocy pomiędzy uczestnikami, a także brak wojskówki i „darcia mordy” przez kadre. Szczególnie istotne było to, że owa dobra atmosfera utrzymywała się mimo fatalnej pogody.

A jednak prowadzona przez kadre wizytowanego obozu, w sumie pozytywna praca wychowawcza, odbywała się przy nakładzie dużo większych sił i środków tejże kadry (niejako „po górę”), niż byłoby to konieczne w przypadku używania przez nią sprawdzonych metod i narzędzi metodycznych, czyniących naszą pracę instruktorską efektywniejszą. Dla porządku dodać należy, że obok zwiększonego nakładu sił spodziewać się można również pojawienia pewnych skutków ubocznych w postaci utrwalania niewłaściwych wzorców. Niestety.

Kłopoty, o których wzmiankuję powyżej powstają w wyniku: przede wszystkim niedostatecznego rozumienia sensu używanych narzędzi; również, choć dużo rzadziej – braków wiedzy; i całe szczęście bardzo rzadko – niedostatków postawy.

Brak rozumienia

Podstawowy kłopot, który się pojawia to, domniemany przeze mnie, brak u kadry świadomości doniosłości i skuteczności podstawowych elementów metody harcerskiej. Na przykład: pośredniości oddziaływań. Szczególnie jaskrawo widać to było na przykładzie kontroli porządków podczas apelu. I nie chodzi o to, że w chwili kontroli namiotów poszczególnych zastępów, w stojącym na pierwszym planie, otwartym na plac apelowy namiocie komendy był bałagan. Jako bardziej niepokojące odebrałem tłumaczenie kadry. Otóż zamiast usłyszeć: „nie zdążyliśmy”, „jesteśmy bałaganiarze” itp. dowiedziałem się, iż: „chłopcy wiedzą i rozumieją dlaczego namiot komendy nie podlega kontroli” i „mamy ważniejsze sprawy na głowie. Jakie? „Na przykład program”. Pomyślałem sobie, iż rozmówcy moi po prostu nie rozumieją, że dawanie przykładu (szczególnie w tak prostej i zewnątrznie widocznej kwestii jak porządek) jest łatwiejsze i mniej absorbujące dla kadry, niż stosowanie metody bezpośredniej – w szczególności gdy stanowi ją wątpliwej jakości punktacja. Nie rozumieli też co gorsza, że wychowanie jest ważniejsze od programu (o tej kwestii będzie jeszcze dalej). Obserwacje te nie zmieniają jakkolwiek mojego przekonania, iż luki w pracy nad własnymi postawami kadry dotyczą bardziej kategorii związanych ze stylem działania niż jej kręgosłupem etycznym.

Kolejnym kłopotem jest prawdopodobny brak właściwego rozumienia przez kadre używanych form i narzędzi. Dochodzę do wniosku, iż na kursach naszych uczymy instruktorów o istnieniu szeregu form i działań, charakteryzujących dobrą drużynę, dobry obóz – a nie zadajemy sobie trudu, by upewnić się czy uczestnicy szkoleń rozumieją dlaczego dane formy są właśnie takie, dlaczego są ważne i że stanowią one istotną pomoc w pracy wychowawczej, a nie wymóg, czy też przykry obowiązek.

Sytuacja ta zaczyna powodować, iż w życiu obozowym pojawia się wiele pustych form, które mogą nie tylko nie działać, ale wręcz – wynaturzać spodziewany efekt. Odnosić można wrażenie, że wiele czynności dokonuje się w nie do końca uświadomionym poczuciu, że „tak trzeba”, ale bez refleksji – dlaczego. Zaobserwowane przeze mnie przykładowe przejawy pustych form stosowanych na obozie:

Widziałem apel poranny, który zawierał elementy formalne: raport, sprawdzanie porządków, podniesienie flagi. Natomiast wobec braku rozkazu dziennego, a przede wszystkim wobec braku wystąpienia komendanta z odniesieniem się do planów dnia (ba, braku jakiegokolwiek wystąpienia komendanta), apel zatracił swoją pierwotną

podstawową funkcję: wezwania obozowiczów do gotowości do działania (APEL), pozostawiając jedynie wypełnionymi poboczne funkcje kontrolne (wątpliwej niestety jakości: pobieżnie sprawdzano porządek w namiotach, stosując raczej niskie wymagania i przechodząc do porządku dziennego nad bałaganem tuż obok: w suszarni, magazynie i obrzeżach placu apelowego);

Widziałem wspólne ognisko obozu męskiego i żeńskiego, na którym (nota bene bardzo późno w nocy: 23.00 – 01.00) wyłącznie śpiewano piosenki i płaśniano, a jedynym wystąpieniem przedstawiciela kadry (oprócz mianowania strażnika ognia) było zdanie: „mamy wśród nas gościa, może druh się przedstawi i opowie coś o sobie”. Atmosfera na ognisku była bardzo sympatyczna, a jednak nie było tu miejsca na „robienie nastroju” przez przedstawicieli kadry, drobnymi choćby komentarzami czy krótkimi wystąpieniami, nie było miejsca na podsumowania dnia, nie było miejsca na występy, choćby błahe – zastępów, ani jakiegokolwiek inne, aktywizujące formy, nie było miejsca na kurtuazję odrębnych bądź co bądź obozów wobec siebie. Powtarzam więc: ognisko było bardzo sympatyczne, jednak nie spełniło mnóstwa funkcji, które mogłoby spełnić – przy niewielkim wysiłku ze strony kadry.

Rozmawiałem o fabule obozu (Wikingowie), która w dziesiątym dniu obozu manifestowała się jedynie wikińskimi nazwami zastępów i budowlą o kształcie łodzi w suszarni. Osobiście jestem sceptycznym obserwatorem stosowania fabuł na obozach harcerskich. Ten obóz utwierdził moje wątpliwości, gdyż to co zobaczyłem to było typowe zastosowanie konkretnej formy „bo tak się robi”, bez rozumienia – po co. Według mnie obóz ten wcale nie potrzebował żadnej fabuły, żeby być fajnym obozem. Jednak przekonanie komendy, że „tak trzeba” spowodowało, iż coś tam w tej sprawie zrobiono – nie traktując jednakowoż swoich planów zbyt poważnie. Reperkusją niekorzystną może być wyrobienie przekonania wśród uczestników, iż normą jest realizowanie naszych programów powierzchownie i w założeniach niejako „na niby”. Szkoda.

I jeszcze jedna drobna ale martwa forma, o której chciałem napisać: szczególna pozycja na obozie wartownika. Sami znacie to z własnego doświadczenia: chłopaczyna, stojący przy bramie, w pełnym umundurowaniu, przyjmujący postawę zasadniczą i oddający honory gdy przez bramę przechodzi przełożony czy gość. Aż dziw, że forma ta trwała, skoro nikt z przechodzących przez bramę przełożonych nawet w obecności wizytatora komendanta chorągwi oddającego przecież jak należy honory wartownikowi, nie zwracał uwagi na gotowość pełniącego służbę chłopca, na regulaminowe pozdrowienie i zapał godny być może lepszej sprawy.

Jeszcze jeden z plejady drobiazgów: ogłaszanie zbiórki w szeregu frontem do ... i tak modne ostatnio odliczanie sekund: 10..., 9..., 8... . A przecież chodzi o to, by zbiórka dokonała się jak najszybciej, a nie właśnie w 10 czy ile tam jeszcze sekund. Bez

sensu, no nie ? A może to ja tylko tak uważam.

Z braku rozumienia sensu wynika również wszechobecny dyktat programu. Odnoszę wrażenie, iż za podstawową cnotę uznaje się zrealizowanie programu, podczas gdy, w tak dynamicznej sytuacji jaką jest obóz harcerzy, program stanowić winien zestaw potencjalnych możliwości i propozycji, które warto i należy korygować wszędzie tam gdzie wymaga tego sytuacja lub pojawia się okazja do wspaniałej przygody.

Właściwie trudno jest mi powiedzieć czy mamy do czynienia z brakiem rozumienia, czy też brakiem chęci rozumienia. To drugie objawia się wedle mojej obserwacji niedostatecznym zaangażowaniem instruktorów w dokonywanie bieżących ocen sytuacji wychowawczej. Nie odnoszę wrażenia, by oddawali się oni częściej refleksji nad pytaniami o przyczyny pewnych zachowań chłopców, skuteczność wychowawczą stosowanych metod i zasadność podejmowanych konkretnych działań. Wydaje mi się, że takich rozmów (oprócz zagadnień dotyczących kwestii socjalno-bytowych i organizacyjnych) po prostu się nie prowadzi. A szkoda, bo najlepszą szkołą jest próba wspólnego dochodzenia do syntezy i uogólnień przez „jadących na tym samym wózku”, wspierających się przyjaciół-instruktorów.

Tym brakiem nawyków do przyjmowania wyzwań intelektualnych tłumaczę brak ciągłości do świadomego aranżowania sytuacji wychowawczych, wykraczających poza proste narzędzia i techniki. Choćby wyzwanie kształtowania rycerskości wobec dziewcząt, których obecność aż się prosi do takiego właśnie wykorzystania (niestety, na obozie królują postawy „równouprawnieniowe”). Cóż, dla prowadzenia takiej gry potrzeba spojrzenia na wszystko czego używamy w harcerstwie jak na sposób tworzenia takich właśnie sytuacji. Im bardziej naturalnych, tym lepiej. Ale najpierw trzeba rozumieć, czuć i poszukiwać.

Brak wiedzy

Mówiąc o braku wiedzy myślę bardziej o braku dobrych praktyk. Przykład – pionierka. Pionierka namiotowa na wizytowanym obozie była dobra, solidna i widać, że wymagała pracy. Nie mniej instruktorzy nie umieli powiedzieć kto ich tej pionierki nauczył. Nikt. Sami do tego przez lata dochodzili. I to widać. A przecież gdyby ktoś pokazał jak to wszystko zrobić ciut bardziej fachowo, to efekty przy tym samym nakładzie pracy byłyby nieporównanie lepsze. I byłyby siły na wyposażenie „ponadstandardowe”, różne sprytne patenty i zdobnictwo. A tak – sił nie było. I rzeczywiście, my nie uczymy pionierki. W ZHR nie ma mechanizmów uczenia technik harcerskich. Czego z drużyny nie wyniesiesz, tego znikąd nie będziesz miał. A jak drużyna była marna, a jak jej w ogóle nie było ? To cóż taki drużynowy ma zrobić ? Próbuje sam. Najczęściej dochodzi do czegoś, ale jak trudno.

Niedostatki postawy

Jest coś takiego jak ogólna swoboda i luz: pytam wartę w obozie dziewcząt podczas rannej przechadzki: „o której jest pobudka?”, „jak się komenda zbudzi!” (wiem, to akurat obóz dziewczyn); jest dwie godziny od pobudki w obozie męskim, oboźny waha się czy już ogłosić „przygotowanie do apelu – czas 20 min?”, eee. nie, pójdę jeszcze do kuchni po menażkę” – ja, zdenerwowany, bo miałem już zacząć posiedzenie z komendą: „Druhu, na co czekamy?”, on – „Druhu, my zawsze tak dłuuuugo jemy śniadanie” (wiem, to dobrze wpływa na trawienie); komendant zgrupowania zaleca coś komendantowi obozu, a on mówi „mam inne zdanie” (wiem, ma prawo mieć inne zdanie); jestem umówiony przy kręgu ogniskowym na podsumowanie wizytacji, oboźny z jednym z instruktorów spóźniają się ponad 5 min. i mówią: „poszliśmy złą ścieżką” (wiem, nie jestem tu najważniejszy); i tak dalej, i tak dalej, i tak dalej. Może już jestem stary (chłe, chłe, chłe), ale brak mi czasem takiej zwykłej sprężystości, dynamizmu, celowości działania dobrze naoliwionego mechanizmu, szczególnie tam gdzie nie jest potrzebna żadna filozofia. „Standard poranny” po prostu nie może trwać trzech godzin.

Ta swoboda przekłada się na dystans wobec przełożonych i takich dziwnych jak ja gości. Przywykłem już, że nikt mi nie melduje obozu, drużyny czy samego siebie. Trudno mi natomiast przywyknąć do tego, że młoda kadra po prostu wie lepiej niż ja, który „nie rozumiem uwarunkowań, trudności i całej tej złożoności jaką jest prowadzenie wzorowego obozu harcerskiego”. Trudno jest mi się pogodzić z faktem, że moje miejsce jest na wysypisku.

Konkluzja

Okazuje się, że odbycie kursów instruktorskich i zwykły nadzór realizowany przez przełożonych – nie wystarcza. Musimy nauczyć się efektywniej pomagać kolegom-instruktorom, my – harcmistrzowie. Nie tylko w postaci szkoleń, ale również w postaci skutecznego opiekuństwa, poradnictwa i zwykłej obecności. Wtedy, gdy jesteście potrzebni. Gdzie jesteście, druhowie harcmistrzowie ?!

[Tomasz Maracewicz](#)

Harcistrz, kapitan jachtowy, z zawodu oficer marynarki handlowej, a także biolog i broker ubezpieczeniowy. Był harcerzem, a od 1978 roku przez kolejne osiem lat drużynowym Pierwszej Wodnej Drużyny Harcerzy im. Tadeusza Kościuszki w Gdańsku. Równocześnie w latach 80. XX wieku był wiceprzewodniczącym gdańskiego KIHAM i działaczem Ruchu Harcerskiego. Potem został jednym z założycieli Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej, pierwszym Naczelnikiem Harcerzy

oraz - kilkakrotnie - członkiem władz naczelnych ZHR. W międzyczasie został ojcem aż trzech wspaniałych synów, Ignacego, Kajetana i Wiktora, którzy również przeszli przez harcerstwo. Był współtwórcą pisma instruktorskiego „Pobudka”, kursu podharcemistrzowskiego „Jakobstaf” oraz powołanej później fundacji noszącej tę samą nazwę. W latach 2011-2014 pełnił funkcję prezesa Fundacji Harcerstwa Centrum Wychowania Morskiego ZHP w Gdyni. Autor książek i podręczników o tematyce zarówno harcerskiej, jak i żeglarskiej. Obecnie instruktor Mazowieckiej Chorągwi Harcerzy ZHR w rezerwie.